

# ORĘDOWNIK

## NAUKOWY.

Spis rzeczy 50. Numeru: „*Święto - Michalska Ławra, (Duma o Hetmanach Kozackich) przez Michała Czajkowskiego.* — *Krytyka: Pamiętki Jana Seweryna Soplcy, nadesłane Redakcyi Orędownika, przez Wydawcę Powtórnej Edycyi tego dzieła.*

### Święto - Michalska Ławra

przez

*Michała Czajkowskiego.*

Jasno — jasno — w Święto - Michalskiej Ławrze — księżyc światło przez szyby bije — lśnią się marmury — błyszczy złoto, srebro — Majestat Pański jasnemi barwy majaczy. —

Księżyc światłem i milczeniem Ławrę zalał — milczą marmury — złoto, srebro nie nie mówi — a ludzi niema — czy przelocna Ławra z wielkiego grodu na pustynie przestąpiła — czy wielki gród w step się przeinaczył? —

I Ławra nie na pustyni — I wielki gród, tam, gdzie stał, stać będzie. — Srebrny Archanioł swojej Ławry nieoposił — a lud wielkiego grodu ni zamarł, ni się przeinaczył. —

Sen to — sen — nie śmierć — nie trętwienie zasnięcia — ale chwila obudzenia się. —

Roztrzasły się Pańskiego przybytku podwoje — Biały Archanioł stanął — zawołał: —

— Wstaniecie! —

Zahuczało podziemie — marmury posadzki klekotaly — drgały granitowe słupy — sklepienie kołysać się poczęło — a szczeró - złote pobicie kopuły zaszeleściło brzękiem — z grobów wstawali i weszli do Ławry. —

W półkole przed Archaniołem stanęli — trzynastu ich aż było — dwónastu jeden obok drugiego — trzynasty wysunął się naprzód — stare to wąsate postawy — i strój ich nie dzisiejszy — i szablce stare. —

Chrzęśla srebrna zbroica na Archaniele — zatrzepotał srebrnym skrzydłem — malinowy płaszcz się rozwijał na tło jemu — i zaczepił o podwoje, niby o złoto Bożej jasności — nie szabli dobył, tylko okiem Panieńskim rzucił.

Wy moi — mówcie — kto wy — mówcie im. —

Wskazał ręką ku drzwiom Ławry, a tam ciemno, nic niewidać. — Księżyc ciekawy całkiem się rzucił patrząc na Archaniola i na trzynastu zmartwychwstańców. — Zmartwychwstańcy patrzyli i nic nie widzieli — Archanioł tylko

widział — ręką wciąż tam wskazywał — i powtarzał — mówcie im.

Pierwszy od prawicy kontusza wyloty zarzucił — musnął płowy wąs — w karabele stuknął. —

— Ja, Lach dawnego rodu, od mojego lepszego i starszego w całej Polsce nie masz — władałem obszernemi włości — żaden pan, żaden książę odemnie więcej bogactw nie liczył. — Urodziłem się i żyłem, kiedy Jagiellony dzierżały polskie berło. — Senatorskie krzesła, dygnitarstwa, starostwa, buławy, wszystkie dla mnie były — a jam po nie nie sięgał — to by wszystko było dla mnie, nie dla ojczyzny. — Już wtenczas w Polsce kacerstwo krętami potoki poczęło nurtować posadę jednego kościoła. Kościół był zagrożonym, ale z nim i Polska była zagrożona. Książę kościoła — kardynał, duch niewiary począł walczyć duchem wiary — zakon potężny wprowadził do Polski, i do walki z apostołami kacerstwa zakon postawił. — Kiedy to się działo; od południa, od wschodu Bisurman walił się na chrześcijaństwo. Przeciw ludowi kacerstwa stanął duch prawego kościoła — przeciw szabli Bisurmańskiej, trzeba było chrześcijańskiej szabli. — Przyjaźnią, złotem mojem dobrałem sobie niewielu towarzyszy — z niemi szedłem w stepy dzikie — znajomi moi, radni, Lachy jak ja — krzyczeli: szaleniec, potępieniec! — A ja w opiekę Tobie oddałem Archaniele i moich i siebie — dzikie stepy stały się stepami Świętych Pańskich. — Zamieszkała tam dzicz, rycerstwem chrześcijaństwa się stała. — Bisurman zadzwonił po naszych szablicach i dalej nie poszedł. — Pułki dziarskiego rycerstwa królowi i rzpltej dałem. — Ci, co mnie zwali szalenicem, potępiencem, oklaskami sypali: — Dzielny Mąż — Wielki Hetman! — nie mnie się to należało. — Tys nam błogosławił — Tys nam hetmanił — sława i cześć nie ziemskiemu, ale niebieskiemu naszemu Hetmanowi!

— Skończył — drngi po nim był z kolei — rysy, ni jednego włosu na głowie, a broda

w pas — ua nim pancierz saraceński, a w ręku hełm.

— Ja pierworodny syn księcia i z matki księżniczki — syn dziedzica stu grodów i tysiąca siół, i stu wysp na wielkiej rzece i wszęch pustyń, tokowiska wojny, wojaków mogilnika, dziecięciem małym zasłyszałem o kolebce chrześcijańskiego rycerstwa, i jak ono w olbrzymy rosło — i ja dziecina chciałem być olbrzymem — młode sokole, ledwie skrzydła mi strzeliły, gniazdo ojców opuściłem. — Co mi po zamkach i po bogactwach — co mi po mitrze, i dawnego rodu zwaniu, kiedy bym tylko ich blaskiem świecił, szumem, krzykiem nadrabiał, czegom niewart był. — Wszystko wysnuć z siebie chciałem i z prostego rycerza urosłem na wielkiego mistrza tego nowego zakonu — hetmanilem — cała potęga Tatarzyna rozbiła się o gród, w którym z mojem rycerstwem byłem ja. — W duch pogałem na Perekop w goście, a jaki podarek zawiózłem tam, długo Tatarzyn popamiętał. — I już za mego życia w granice Polski więcej nie chodził. — Później w królewskim grodzie król Jagiellon mnie witał — senat, rycerskie koło przedemną się kłaniali — a jam się już ani przyznawał do dawnego rodu i do mitry; książę, choćby jaki był, już za mały, przy rycerstwa hetmanie, przy twoim namiestniku, biały Archaniele. —

Taki był dumny zmartwychwstaniec, że okiem swoim sięgał wprost do Archaniola oka — i nie stało mu już mowy. — Trzeci od stóp do głowy zbrojny, twarzą i postawą posępny — zaczął: —

— Ni książę, ni wielki pan był ze mnie — za twoją opiekę Archaniele, sercem i ramieniem z prostego rycerza stałem się przeorem całego zakonu. — Tatarzyn za morze stepów zagnany, liczył rożaniec swoich kłesk — Ale Bisurman wzrosły w potęgę, zajawszy już na własność chrześcijańskie państwo, słowiańską rzekę przepławił i brnął po dalsze zabory — chrześcijańskie książę nie wołało o pomoc do królów, do

carów, do braci książąt — ale do nas chrześcijańskiego rycerstwa. — Nie darmo wołało, z trzema tysiącami moich poskoczyłem w sąsiedni kraj. — Trzy lata szablice nasze, gromiły krociowe zastępy Mahometa — kroku one nie postąpiły dalej, cofały się w tył. — Nad nami błyszczał krzyż Pański, nad niemi słał się półksiężyc, a lud, co tego nie widział, wołał: cud! cud! — Łaska to Pańska była. — Wojna nas krzepiła, jeden ginął, drugi za dwóch, za trzech i za więcej miał i życie i siły — ale chrześcijańskie książę rozhartowało duszę w wojnie — mizerniało. — Naród jego krwią rodową niepowinowaty nam — przენiewierzał się panu swemu — przენiewierzał się wierze swojej — Padyszach dawał nam ziemię na państwo — ludzi na niewolników — obiecywał złotem stawy napelnić dla nas — byśmy ostatni to książę odstąpili. Nie, nie, zeszczerbiliśmy, polamaliśmy nasze szablice na bisurmańskich karkach, wszyscyśmy stracili życie co do jednego, ale rycerstwu naszemu została cześć po wieki wieków; mogiły posypali nam, i Bisurman za nie nie przestąpił, nie słowiańska ręka go wstrzymała, nie narody, co mieszkają tam — ale na strażnicy stanęły mogiły twojego rycerstwa, Archaniele.

Archaniola lice się uśmiechnęło i trzeciemu zmartwychwstańcowi przewinał się uśmiech po twarzy — a czwarty przybrany w sajetę, atlasy — w litę złoto i kamienie drogic — potrząsł czapką, zdobną piórem czaplem.

Hetman, co mnie mową poprzedził, był moim poprzednikiem na hetmaństwie. — Polska była w niedoli, zmarł ostatni z Jagiellonów — o berło zaczęła się frymarka, obcy kupczył, a swoi niedali poszanowania, ni wierze, ni prawu, ni cnocie — rycerstwo twoje Archaniele płakało śmierci wodza, i w ciężkiej żalobie o drugim nie myślało — i tam byłby amen potędze. — Archaniele, Tyś mnie natchnął. — Pierwszy rodem z książąt, pierwszy bogactwem z panów w Polsce, mąż krasnoliejczy, ojciec

dwóch dziewczątek — skarby serca pożegnałem, zaplakalem trochę — skarby złote zabrałem, i poszedłem w step między rycerstwo. — Rycerstwo chciało mnie prowadzić na tron Jagiellonów, a ja niechciałem. — Będę wam hetmanem, podeprzemy króla i Polskę. — Na Moskwę, na Moskwę, poszliśmy z wielkim królem. — I Psków i Wielkie Łuki znają nas. — Za mnie, przezemnie, do miana chrześcijańskiego rycerstwa, przybraliśmy miano rycerstwa polskiego. Odtąd już nietylko odpieraliśmy od chrześcijaństwa bisurmanów, ale i wrogów od Polski. —

Piąty zmartwychwstańcic jesze był czarnobrewiec — w tureckie tyftyki, w basorskie kamienie przybrany — wąsik musnął i przechwalał mu na usta usiadła.

Kto mi ojciec, kto mi matka, Bóg to święty wie — sierotą znalazłem się na pustyni — koń mi był bratem, a sokoł druhem; szabla kochanką, a serce mistrzem. — Na Moskwie się zaprawilem, wslawilem się na Perekopie — i już hetmanowi przyszła mi dumka — o' tak sobie. — A nuż sultana w Carogrodzie napłoszyć. — Bracia Lachy jedni się śmiali, drudzy litowali, ale hetmańskie słowo stać się winno — czajkami osiodlaliśmy Dnieper, i starą rzekę jak rumakami poczwalowaliśmy na morze. — Morze nas pokochało, niosło pod Carogród, a tam była hulanka, aż miło wspomnieć. — Srebrny dzwon, świata dziwo, i szczere złoto na kopule Ławry Twojej Archaniele — wszystko to ztamtąd. — A sultan Padyszach, odtąd ni jednej nocy spokojnie przespał, bał się, byś my go nie budzili, zakopał się w swoim Carogrodzie, o Polsce ni pomarzył — szalona dumka, szalony poskok wszystko to zrobił. — Otoż na ludzkie śmiechy, na ludzkie politowania, w odpowiedzi zostały w potomne czasy. — Chwała Tobie — Cześć nam. —

Szósty starzec w kontuszu poszarpanym na kłapcie, z twarzą poznaconą w niezagojone blizny — krew ledwie przyschła koralem czerwieniała po żupanie — pokorą zgar-

biła się sążnista postawa, i pokorą pochyliła się głowa ku ziemi.

Mnogie lata przeliczyłem w posługach naszego zakonu, pod wszystkimi temi hetmanami walczyłem — nauczyłem się słuchać, kazano mi rozkazywać — król jegomość kazał, rzeczpolita chciała, walczyć Bisurmana na morzu. — I ja hetman kazałem rycerstwu z koni wsiąść na czajki — a czajkom stać się okrętami. — Próba była ciężka, z początku zwycięstwo do nas się śmiało, ale los się zmienił — rycerstwo ocalilem, a sam dostałem się w niewolę Bisurmańską. — Usłuchałem rozkazu i ocalilem tych, którym rozkazywałem — przez Twoją łaskę Archaniele. — Męczeństwa nie szukałem, ale zniósłem je, kiedy przyszło, niepokalany w wierze i uczciwości wojskowej zakonu. — I ta jeszcze Twoja łaska nademną, nad nami czuwała. —

Zmartwychwstańcowi siódmemu pałał w oczach życia blask — życiem drgają ręce, potrzasał lasko czupryną, a karabelą ustawicznie pobrzękiwał.

— Ha! ha! kto ja — jedni mnie zwali zbawcą, posłańcem Bożym — drudzy potępieniem, plagą Bożą — i ja sam nie wiem, czem byłem — z początku niczem — szlacheicem na zagrodzie — panek możny nieczeseć, zniszczenie na ród, na dom mój naniósł — sprawiedliwości wołałem i byłbym przestał na jakiej tam grzywnie — niedano — sam oddałem wet za wet — i sprobowałem się, że mogę — nie z wiarą, nie z poświęceniem się, jak tamci moi poprzednicy, ale z hulaszczą wolą, co to losem człowieka jak wichler miota, wszedłem do Twojego zakonu Archaniele. — Już zakonnik, jeszcze nie hetman, tylko wysłaniec hetmański — u króla sprawiedliwość błagałem. — Jeszcze mi dotąd brzmią w uszach słowa króla: — „Macie szable, a o sprawiedliwość prosicie — dopomożcie sobie sami, i mnie dopomożcie.“ — Zrozumiałem ja to, ale hetman niezrozumiał. — Jużem raz zobaczył, że kiedy się chce, to można. — Het-

man precz, i do roboty w duch — na prawdę wcielać królewskie słowa. — Myślałem: lud będzie wolny, a król potężny — od zlego zacząłem, wpadłem na dobre — król zmarł, a następca po nim, czy myśli jego nie pojał, czy pojać nie chciał — szable już były dobyte — chować nie czas — bratnia wojna po kraju się poniosła. — Byłem zwycięzcą i źdźbła majestatu królewskiemu nie ująłem. — Mogłem stać się królem z mojej woli, a padłem na kolana przed królem bez potęgi, bo to mi był prawy pan, namazaniec Boży. — Szlachtę chciałem zgnieść, a i tym darowałem dla Polski. — Przyrzeczono, niedotrzymano — znowu wzięliśmy się do szabel — ze zwycięzcy stałem się zwyciężonym na nie — ale duch mi nie upadł, wiedziałem już, że wszystko można, byle chcieć — ludzi nie było, szabel nie było — ale słowo było u mnie — zawolałem: „cały lud zakonem — braterstwo chrześcijańskie — równość i jednakość między wszystkimi“ — byłem potężniejszy, jak kiedykolwiek — gromiłem Lachów, szablą wzięłem żonę dla syna na Wołoszy — wszystkich mocarzów posłowie siedzieli u mnie, jak u cara, jak u króla — u mnie szlacheica z zagrody. — Opętańcem się stałem, szalałem — i narodu nie stworzyłem, i zakon odczepiłem od Matki. — Przy śmierci Bóg dopiero na mnie zesłał żal, ciężki żal — czasu do pokuty nie było. — Lud prosił o syna na hetmana, o moje dziecko, o moją krew — a ja powiedziałem: — Nie — tego weźcie, on poprawi złe, com ja narobił — i tego wzięli — w godzinę śmierci jeszcze chciałem, i jeszcze tak się stało. — Wolę moję niech każdy ma — a rozjemu mego niech się niejeden strzeże. — Bo Ty Archaniele tak chciałeś, tak chcesz, żeby zakon Twój nie był czem inném — jak piersią, jak ramieniem Polski. —

Ten, co obok niego stał, prawicą krew luszczyl z czaplego pióra, a lewicą szablę przyciskał do serca. —

Wola twoja się spełniła, mój hetmanie — car

mi w podarku dawał udzielne księstwo — a ja mu dałem odpowiedź — pod Konotopem. — I zakon i lud cały, któryś ty na wieki z zakonem związał. — Wszyscy wrócili do matczynego łona. — Dwa razy to czaple pióro przypinałem twemu synowi, by nie było zwady między zakonem a ludem. — I dwa razy brałem je dla siebie, by znowu nasi nie zaszeleli i matki się nie zaparli. — Senatorskie krzesło, starostwo, dziedzinę ojców, wszystkom ciskał, nie dla dzieci, nie dla rodu, ale dla dobra moich. — Jam był nie człowiek swój, ale człowiek zakonu. — Lach, brat wojny, poszeptami nabechtany, zdradą mnie podszedł, i w tę pierś, co dla Polski tylko żyła, utkwiał kulę polską. — O, gdybym ja był jeszcze między żywymi, niemściłbym się, niemścił — ale to robił, com robił — bo ja człowiek zakonu — ja człowiek Polski.

Dziewiąty inakszy był jak wszyscy — z grobu wyszedł, a zdaje się, że tylko co z konia zsiadł — jeszcze mu w oku błyszczy bój, i postawa bojem drga.

Krew to moja — krew rodzona mojej matki, w tym wielkim hetmanie — krew za krew — darmo nic — pomsta we mnie grała, a jam szalał. — Boże odpuść — Archaniele za mnie się wstaw — a Ty Matko Polsko daruj, jam grzesznik wielki, żal mój wieczny, moi, moi odpokutują za mnie — krwią — zakon oddzieliłem od ludu, i z samym zakonem tylko, czterem mocarzom radę dawałem szablą. Trzy razy Perekop łanami pożaru w niebo się parł, przezemnie. Dwa razy tretowaliśmy końmi jak długa, jak szeroka Wołosza, i Dunaju wody prudy pierśi koni moich. — W siwym Kremlu poczwórnym nawrotem, zalęknione dzwony jęczały — bo to my tam hulali po Moskiewszczyźnie. Sześćkroć razy sparłem Lachów i nietargnąłem się w granice Polski, bo to także Matka nasza. Sto i oko bitew w czystem polu wygrałem, Sorokowiec twierdz i zamków zdobyłem — krom zakonu nikt do tej pracy ręki nie przyłożył — a zakon nie schyrlał ni ciałem, ni duchem; by-

ła wiara, a z wiarą siła; tak niech będzie i moim zawsze. Boże daj! Archaniele! wiedz ich na dobro Polski, to mi będzie niebo, za długi, długi czyścić.

Ten, co stał obok, duży był wzrostem, a rodzima дума, i po śmierci niemogła zetrzeć nałogowej pokory z twarzy.

Niewiasta Laszka z królewskiego zamku pchnęła mnie w dzikie stepy, ale pchnęła mnie z miłością ku Polsce, bo przez nią i w niej Polskę kochałem. Już lud wasz, hetmanaj poprzednicy moi, dźwigał obce jarzmio; a zakon szalał dniem — dzisiaj — o jutro nie dbał — darmoby już hetman wołał, jak na dawnych ludzi — za wiarę — za Polskę, na wroga — ten ciągnął w lewo, ten w prawo, a o biednej Matce nikt nie myślał. — Ukorzyłem się przed nim i jak pies się czolgałem. — Ja orzeł ze krwi i z ducha, lisem, padalcem byłem mnogie lata — i wtenczas, kiedy mnie wróg sądził w niemocy, niby próchno jakie, dobre do potarcenia nogą — podniosłem głowę i zatrzęsłem całą potęgę wroga. — Bóg nad nami się nie zmiłował — zmarłem na Czuzynie. — Kłątwe na imię moje, na ród mój, jak pacierz powszedni wróg co dnia powtarzać każe — z mojej pamięci, z kłatwy wroga, niech się moi uczą a któryś będzie takim, jakim ja byłem — jedyną pociechą w śmierci mi ta myśl — a jedyną próbą — Boże się zmiłuj — Archaniele wesprzyj naród mój. —

Jedenastego usta niegłośno brzmiały.

Polska była w utrapieniu — król Lacki na wygnaniu. — Ja byłem wielkim mistrzem zakonem, i miałem syna jedynaka. — Syna królowi Lackiemu posłałem — z zakonem przeciw wrogom Polski poszedłem. — O śmierci syna dano mi znać — a jam zwycięstwem nad wrogiem popłakał śmierć syna. — O śmierci króla Lackiego przysłała wieść — a jam z bólu w zwycięstwie zmarł — bo zwycięstwo było już na nic. —

Z zmartwychwstańca oczy lzy padły na mar-

mur posadzki — a dwónasty młody jeszcze, urodziwy, ciężko westchnął — dokoła niego żaloba się osuła, ale dzika żaloba — taką, jaką Bóg z czarną nocą i wichrem szarugi na śnieżne stopy rzuca.

Polska ginęła — zakon przepadał — Chrześcijańskie państwa gorzej Bisurmana zazarły się na nas — ocalilem szczątki zakonu — my rycerze krzyża znaleźliśmy przytułek i gościnność u wyznawców proroka fałszerza — tam zadzwoniliśmy w dzwony kościelne, i teraz dzwonią i dzwonić będą, póki na swojej ziemi niezadzwonią. —

Ten dwunasty na słowa nie był chwatał — więcej szablą nabrząkał, jak mową nabrzmiał — i było milczenie — Sam Archanio je przerwał. — A ty mój ukochany, mów, kto ty — mów im. —

Ten, co stał przedewszystkiemi — trzynasty — odwinął burkę; z piersi wziął krzyż Pański.

— Bylem mnichem —

Ręką chwycił za skrwawiony atagan —

— Zamordowałem zdrajcę —

Wydobył szablę z pochwy —

— Hetmaniłem pod Chocimem —

Zamikło wszystko — Archanioł stał i zmartwychwstańca stali — niemi. — Księżyc drgał światłem — ślaniał się — czy chciał mówić — czy przysłuchiwał się, niemówią-li oni jeszcze — i nagle przerzucił się ku drzwiom — jakby chciał wyjść z Ławry. —

I tam przy drzwiach były postacie ludzkie — dwunastu — młodzi jeszcze postawami — a twarzami — starce — granatowe na nich barwy — po granacie białe obwódkami majaczy — a przy bokach szable — Na przeciw nim, tuż, stał starzec cały olsniony jasnością. —

Archaniola i Zmartwychwstańców widno już niebyło — tylko głos od Majestatu leciał urocz.

— Słyszeliście. —

Nie słowem, tylko brzękiem szabel odpowiedzieli wszyscy — i wszyscy z księżycem razem wybiegli z Ławry. —

Na dworze słycać było wołanie:

Szaleńce! — Potępieńce! —

Wołaniu wtórowało tętnienie kopyt końskich.

U drzwi Ławry widno, jak Archanioł i starzec w błogosławieństwie za niemi stali krzyż Pański. —

I ciemno się stało — i głucho było — wszystko jak sen znikło; — kiedy — kiedy będzie jaw? —

1841. roku 18. Maja w Rzymie.

## K R Y T Y K A.

*Pamiętki J. S. Soplicy*, wydanie powtórne. Paryż 1842.

(*Ciąg dalszy*) Daleko wreszcie od tego, aby Krasicki był sprawiedliwym sędzią; często miał słusność po sobie przeciwko społeczeństwu, a częściej go nie rozumiał, stawiając pod linią i karcąc zarówno to wiekowe przyzwyczajenie, to różnicę nawyków swojskich od poloru nałowiowego z Europy. Taka jest treść pism satyrycznych, najlepszych pism Krasickiego; chociaż tam co krok spotykać można oświadczenia za obyczajem narodowym i chryje na cudzoziemczynę, jedno i drugie w opatrzeniu się na szlachtę. Inaczej być niemogło: Krasicki był dzieckiem cywilizacji ośmnastego wieku, która niebyła jeszcze prawdziwą oświatą, ale ogląda, co jest z natury swojej wyłączna, despotyczna, jak moda, jak zakon salony; ile więc razy wychodził z roli narodowego pisarza, a objawiał wewnętrzne uczucia swojej osoby, musiał być nie sędzią, lecz przeciwnikiem. Chociażby wreszcie stał Krasicki w swoim czasie przy prawdzie, to inna jest prawda obecna, społeczna, a inna historyczna i poetycka. Tamto były czasy polemiki, dzisiaj są czasy obrazowania. To ostatnie przedsięwzięcie autora pamiętek, i trzeba mu przyznać ten zaszczyt, że w zdejnowaniu rzeczy ośmnastego wieku jest pierwszym, bez przodka w literaturze; że się kierował wielkim instynktem, po tradycji, po tych pismach, które przeszłość na ład nasz wynosi, jak rzeka przy ujściu obrzuca brzegi piaskiem i liściem z krajów, które przebiegła.

Ordynictwo pańskie, palestra, bratnia pobulanka, kolejno się nasuwają pod pęd mistrza. Pan jest ojcem i bratem szlachcica, palestra szkołą narodowego rozumu i arcy-szanownem ciałem, a przyjacielskość znarowiona, którą tak złośliwemi farbami Krasicki w satyrze *pijaństwo* namalował, tu zachowuje zupełnie swoje czyste pochodze-

nie: upijając się ludzie, ale sumiennie i święcie; nadużycie jest tylko bardzo odśrodkowem następstwem cnoty. Autor, przywilejem biegłych artystów, pochlebia, a przecież chwyta podobieństwo. Radziwiłła głowę rozświetlił wszystkimi powabami owych czasów: jestto najlepszy pan, i wielki prawnik, i pierwszy rębacz, czyto, na szable, czyto na żart rubaszny, i pierwszy pijak. Żałujemy jednak, że autor nie dość na to nastawał, jaki tam w duszy jego bohatera był kwiat świeży i biały, którego chwasty dziwactwa zgłuszyć nie mogły; i z tej okoliczności przytoczymy tutaj podanie, co wypadło z pamięci autorowi pamiętek.

Kiedy Radziwiłł razu jednego, pod natchnieniem humoru, klecił genialne swe kłamstwa w obec króla Stanisława, przyszedł z kolei do widzenia się z Jezusem Chrystusem. A jakże Chrystus Pan był ubrany? — zagabnął z przekąsem król filozof — Miał na sobie mundur województwa Czerniechowskiego, odparł niezmiyszany artysta. Wiadomo, że u nas byli tytułarni urzędnicy ziem odpadłych; odpowiedź więc Radziwiłła była wymownem przypomnieniem obowiązków króla polskiego.

Gdybyśmy tu mogli rozwieść się nieco dłużej nad robotą każdego obrazu, łatwoby nam wykazać, jak głębokimi, a prostymi sposobami doszedł autor najwyższych efektów. Pogoda i lubość malowidła, są tu jedynem znamieniem jego trybu. Przez nie grają sceny uroczyste, patetyczne, lub wybija komiczność wysoka nienacechowana satyrycznym zamysłem. Weźmy naprzykład ów obraz trybunału lubelskiego, tak jasny, czysty! Jest ustęp w Doświadczyńskim, najwyrazistszy kawałek z prozy Krasickiego, gdzie tenże sam przedmiot oddany jest żywo i z przyciskiem. Ale porównać dwa te przedstawienia, to jest karykatura, tamto obraz — to pamflet Paul-Louis Couriera, tamto poemat. Któż nie pamięta, jak ucinkowy biskup wiedzie swojego bohatera do Lublina z *paszportem do sprawiedliwości narodowej*? Autor pamiętek poetycznie przyznał nadużycia sądowe legendą o Chrystusie, co się odwrócił tyłem do trybunału, a mieszcząc wiarę w ów cud na twarzach osób swego obrazu, pięknie wyraził, że występki był jeszcze grzechem: nie obyczajem. Naprzykład niewinnej komiczności można przytoczyć wspomnienie o teatrze lubelskim, gdzie dramat ustawnie był przerywany wiatami na cześć wchodzących dygnitarzy, i zazdrość, zemsta, żart, musiały czekać na scenie, dopóki w sali kielich rąk widzów nie obejdzie.

Drugie spostrzeżenie ogólne, jakie uczynimy nad pamiętkami, dotyczy języka i stylu rozmów. Język ten i styl są wyborne, szczeropolskie, z najczystszej żyły wydobyte; w nich autor dochował tok istnie narodowy, którego już niema, gdy sam opowiada. Zresztą, owa czystość języka godzi się dobrze z okresem, jeżeli pamiętać będziemy, że bohaterowie autora pamiętek nie sąto wycho-

wańcy Damonów, ale szlachta, co z francuzczyny ledwie karty przyjmuje, i to z oporem; szlachta ta, co wartała Herburtą, czytywała kroniki, uczyła się Haura i śpiewała psalmy Kochanowskiego.

Nad wszystkimi powiastkami tego działu, niewybiegającymi z domowej sfery, chętnie zatrzymuje się oko i wszędzie trąca o prawdę, bujaie rozkwitła. Gdyby nas jednak zmuszono wybór uczynić, serce nasze odbiegłoby całej palestry, odbiegłoby panów Rewieńskich i Borowskich, nawet Radziwiłła, panie kochanku, a skłoniło się do pana Rysia. Pan Ryś, ideał dandysa kontuszowego, zabójca serc niewieści, choroba płci dzisiaj piękną, a wówczas białą przezwaną, piękny, odważny, zalotny, *l'incroyable* swego czasu, jest dla nas o ile nowem, o tyle drogiem zjawiskiem, a jego dzieje najdroższym dyamentem, jaki kiedykolwiek w pamięci polskiego powieściarza zaświecił.

Piękna jest także legenda o panu Leszczycu. Ta niemoc w obywatelu pozbycia się zgrzyoty, dopóki w holdzie prawu życia swojego nie poniesie, jest pomysłem tkliwym i oryginalnym, chociaż w skruszeniu ducha bierzemy go raczej za uczącą allegoryą, niżeli za dostrzeżenie cechy dziejowej polskiej: tak na wschodzie pod despotyzmem, który ma nieskończoność i niespodzianość kaprysu, krążą powieści o królach stale kochających i odmierających wiernie sprawiedliwość.

Bardziej jeszcze poetycką w swej treści jest pamiętka pod napisem „Klasztor Surlański”. Tylko owa tragiczna dana potrzebowała innego, szerszego rozsnucia; autor pamiętek opisał ją, aby nie zginęła z tradycyi; ale nic z niej nie zrobił, — i ona czeka poety. Nigdy Szekspir, ni Kalderon, arcyragak, nie uprzedli straszniejszego powikłania przeciwności, zbrodni i żalu.

Powieści trzeciego działu, z elementu kozackiego czerpane, rozłamują się znowu stósownie do natury swych danych, albo raczej wchodzą do dwóch powyższych działów, podług tego, jak obrazują przedmioty historyczne, lub sceny potoczne życia. To samo, cośmy rzekli ogólnie o niewdzięcznym sposobie traktowania podniosłych rzeczy dziejowych za pomocą wspomnień Soplicy, przypada zarówno tutaj do kozackich powiastek. Dwie z nich wymagały wielkiej maniery: o panu Sawie, którego życie wskroś idzie konfederacyi Barskiej, i druga o panu Czapskim, co zaezepia o bunt Pugaczewa. Bunt Pugaczewa! istny dramat Wiktora Hugo, mieniący okropnością i blażenstwem, rzucony na scenę wzdłuż Wołgi i gór Uralskich. Cóż zeń zapamiętał pan Soplica? Co mógł pamiętać prawdziwy szlachcic polski, który gdyby był na Hamlecie, z całego poematu wyniosłby Hamletowe do Ofelii:

That's a fair thought to lie between maid's legs.

Pan Soplica oddychając tem życiem melodrammem, nie nabrał w pierś innych wrażeń, prócz kilku facecyek.


Zgoda! jestto prawdą względem osoby opowiadającej, względem Cześnika Parnawskiego. Zupełny brak w literaturze oryginalnej dramatycznej osnowy, sposób suchy, często rubaszny, jakim opowiadają kronikarze najokropniejsze zdarzenia, służą za dowód tej prawdy; ale poddam autorowi pamiętek nasze wątplenie, wolno-li życiodawczemu talentowi potrącać tak o przedmioty bogate? Jeszcze raz powtarzamy, czemuż autor nie wzbroni swemu gadule wspominać tego, co on źle widzieć musiał, a przeprestając teraz na skreśleniu scen domowych, nie odroczy wielkich przedmiotów do dzieł innych, gdzie jego osobistość wystąpi nieskrępowaną przyjęciem ugodnej roli?

Zato, do najpiękniejszych ze zbioru należą powieści kozackie sfery domowej, gdzie autor odrysował kozaka w trzech postaciach, Zaporozca, bajdamaki, kozaka dworskiego. Zaporoziec autora Pamiętek nie jestto Zaporoziec, dyplomata w stosunkach z *sultaniem konstantynopolitańskim*, i urodzony konkurent do kasztelanek krakowskich: broń Boże! jestto sobie po prostu chłop zbiegły z Rusi lub z Moskwy, albo też jaki urwisz od szlachty, sklócony śmiertelnie ze sprawiedliwością krajową, czasem skradzione dziecko, wychowane wśród Siczy — zawsze człowiek wolący życie tkane pohulanką i mordem, nad wieczny batożny proces z rządcą polskiego magnata, albo stanowczą rozprawę z trybunałem. Autor pamiętek niedosyć że osnuł nader interesującą powieść o Siczy, więcej zrobił — szczerością tego obrazu oddał posługę krytyka literaturze, bo obalił dziwołagi Kozackie, które wchodziły już w modę, i wstrzymał ten fałsz zaraźliwy, powstały z pomieszania wyobrażeń Rusi a Kazactwa, tego, co tam było porządkiem normalnym, a co buntem uorganizowanym, dzięki słabości rzpltej, wszakże trzymanym na wodzy, i tylko od czasu do czasu tryumfującym chwilowo. Omal że Potocecy i Wiśniowieccy nie są kozakami; przecież nie godzi się tak dowolnie zamieniać bijących na bitych; jeżeli pierwszych gromi dziś sąd historyczny za ich zbrodnie, zostawmyż ich przynajmniej przy dumie, co wywołała piorun. Dant spotykał w piekle duchy butniejsze,

gniecione ogromnym ciężarem: nie mówi, aby je mieszało z małemi, które ony deptały tu w życiu. Jakto musi żalować wielki poeta, naczelnik ukraińskiej szkoły, że dał niechęć powód do tej mistyfikacji kozackiej? Jakże zabronisz biedakom za cudzą myślą tropiącym podbijać twój pomysł w przysadę, w mniemaniu, że biorąc za punkt wyjścia, co dla ciebie było już odśrodkowym na kraniec prawdy zagonem, śmielszego są od ciebie geniuszu? Ale kiedy wspomniemy, że przez lat kilka Polska wierzyła w kozaków nowomodnych, i wdzięczna za podarek z tak historycznych figur, przebaczała najszerszą obrazę wszelkich pojęć pisania, — kiedy przy tem spojrzym, jak zwolna przenikają w rozumienie powszechnie Wacław, Nieboska Komedya, Pan Tadeusz, — zdejmując nas boleśne zwątpienie o usposobieniach estetycznych narodu.

O! pocieszajmy się pamiętkami Soplicy. Jego Zaporoziec, to mi to Zaporoziec prawdziwy! Pije w karczmie. pawiać się jasnemi barwami i złotym galonem, a gdy wraca do Siczy, zanurza w dziegiu i rzuca barwistą odzież, wołąc koszulę oblaną łojem i niepodległość zaporozką. Wprawdzie tej atmosfery wódki, łojem i dziegiu żadnaby kasztelanek nie zniosła, ale on taki piękniejszy, bo istotny — bo Sicz była upustem dla dzikiej swobody ducha, tłumionej ryżą okólnych ustaw społecznych, bo żaden kozak niebyłby został na Zaporozu, gdyby mógł mieć pannę Lanckorońską za kochankę i z Maryą Ludwiką iść w płasy. Jak tu mądra jest pamięć Soplicy! dopiero co wspomnił to symboliczne przewdzianie stroju, znów nas prowadzi do czterdziestu kwater pułkowych, stawia przy obiorze koszowego, którego nie robi podobnym do konsulów rzymskich, konnetablów francuskich lub hetmanów koronnych, ale przywiedzeniem brudno-poetyckiego obrzędu sypania śmieci na głowę, wzmianką o prawie, co w dzień obioru obowiązywało pisarza, aby na Zaporozu chociaż on jeden był trzeźwy, wtajemnicza nas do serdecznej prawdy tego towarzystwa.

(Dokończenie w następującym Numerze.)

 Na Numerze 52. kończy się drugie półrocze Orędownika na rok 1841.; uprasza więc Redakeya Szanownych Prenumeratorów o wcześnie złożenie przedpłaty półrocznej w ilości 9 Złp. na królewskich pocztamtach, dla uniknienia przerwy w odbieraniu Nrów. W Poznaniu przyjmuje prenumeratę NOWA KSIĘGARNIA na ulicy Wrocławskiej Ner 34. mająca wyłącznie debit tego Pisma.

Redakeya Orędownika: A. Fopłinski. J. Łukaszewicz.